

W Teatrze „Komedia” w Warszawie wcale nie było do śmiechu tej zimy. Udział najmłodszych w spektaklach dla dzieci najczęściej kończył się gripą, dorośli są bardziej zahartowani, więc opuszczali

go. Zatem sytyte przereciło kabaret...

— Można i tak powiedzieć. Jestem adenerwowana. Jedy- nym rozwiązaniem, by dzie- ci nie marzyły, było ograniczenie spektakli dla nich. Szkoda, bo barwne widowisko słow- no-muzyczne „Przygody po- dróżnika Pipsa oraz jego

kiem nieufności do ludzi. Nie znoszą tylko tzw. systemu polskiej pracy, czyli niez- łatwiania spraw od ręki, pry- watnej gadaniny przez tele- fon, medytowania o tym, jak to się nie da nic zrobić. U- ważam, że wszystko można załatwić, nawet w kryzysie. Wiele rzeczy muszą więc sa-

dzi o kłótkach w teatrze. To sztuka jest okrutna, odrzuca niezdolnych i miernych. W teatrze nie ma demokracji, a sprawiedliwość polega na tym, że główne role muszą grać najlepsi. Nikt w imię równości nie obsadził złego aktora w głównej roli, a nie- porozumienia wynikają czę-

ściej z tego, że ma zagrać była mu bli- ska — wtedy mogą wymagać od niego zagrania roli bardzo dobrze. Weźmy np. tak wspa- niałego aktora, jakim jest Zbyszek Zapasiewicz. W pe- wnych rolach sięga napraw- dą ideału, pewnie robi bardzo dobrze, ale ja bym się zawa- hała przed obsadzeniem go w

Mój bohaterem jest głupot

jego mury tylko dzwoniąc siębami.

— Trafia pani na moment najbardziej dla nas przykry. Od miesięcy walczymy o na- prawę kaloryferów. Chcemy przynajmniej zakupić na wi- downie piec akumulacyjny, ale tu wymagane jest zezwo- lenie... władz miasta! Najtru- dziejszą sprawą w teatrze — okazuje się — jest pokonanie barier administracyjnych i technicznych.

— Sytuacja jakby wyjęta z jednego kabaretku Olgi Lipi-ńskiej, z tą różnicą, że tam za- łożone kaloryfery po zewnętrz- nej stronie budynku teatralne-

przyjaciół papugi Trefery i psa Klipsa” Stefana Friedma- na, należy do udanych i za- wsze widownia jest zapelnio- na. Oczywiście ja mogę zam- knąć cały teatr, ale przecież z tego nikomu nie nie przyjd- zie, ani Warszawie, ani ak- torom. Jeśli aktorzy zostaną tylko na tzw. gołej pensji, będzie to po prostu rozpacz w kratkę.

— Plotka głosi, że chce Pa- ni wyłącznie sama zarządzać teatrem. A może Pani nie ufa swoim pracownikom admini- stracyjnym?

— Ależ nie, moje postępo- wanie wcale nie jest wyni-

ma dopilnować, wiele sama załatwiam.

— Plotka też szeptuje, że jest Pani jako dyrektor i reżyser surowa i apodyktyczna dla swoich aktorów, nie znosząca sprzeciwu. Niektórzy wolili na- wet odejść z teatru niż z Pa- nią współpracować. To prawda?

— Tak. Niektórzy odeszli sami, z niektórymi rozstałam się ja. To zresztą naturalne. Aktor szuka dyrektora, któ- ry go akceptuje i wykorzystuje, a dyrektor też chce mieć zespół odpowiadający jego założeniom artystycznym i gustom. Mój zespół to w większości młodzi aktorzy — sprawni ruchowo i śpiewają- cy. Lubię teatr muzyczny i prawie w każdym przedsta- wieniu się śpiewa. Aktor nie umiejący śpiewać ma tym samym mniejsze szanse na sukces, dlatego niektórzy o- deszli.

A co do mojej surowości i apodyktyczności to przesada. Lubię aktorów, potrafię z niektórymi pracować całe la- ta. To prawda, że faworyzu- jem takich, którzy potrafią naj- lepiej zrealizować zadania na scenie — po prostu utalento- wanych. Nie jestem w tym odosobniona. Każdy dyrektor czy reżyser będzie starał się zdobyć dobrego aktora, bo też chce mieć sukces. Niech pani nie wierzy w różne plot-

WYWIAD Z OLGA

sto z braku krytycyzmu w stosunku do siebie. Dlaczego on a nie ja? Ja przecież je- stem lepszy. Trudne to nie- raz sprawy, trudne rozmowy... Niełatwo pogodzić się z tym, że jest się gorszym. Na szczęście w teatrze jest ze- spół, są gwiazdy i drugi plan — protagoniści i chór, potrze- bni jedni i drudzy. Czasem aktor z drugiego planu trafi na rolę, zrobi świetnie epi- zod, jakoś się odnajdzie i „wyskoczy”. Reżyser czy dy- rektor musi to zauważyć.

— Pani to zauważa?

— Ooh, tak i cieszę się tak samo jak aktor, któremu się udało. Lubię jak aktor potra- fił mnie zaskoczyć czymś nie- banalnym w sposobie bycia na scenie. To naprawdę jest satysfakcja — praca z akto- rem poszukującym ciekawych środków wyrazu i dlatego zawsze bardzo długo zastana- wiam się nad obsadą. Nie mam zwyczaju tzw. „łama- nia” aktora, to znaczy nie obsadzam go w roli odleg- od jego własnej struktury psychicznej. Nie wymagam tego czegoś — w moim prze- konomaniu — nie robi dobrze. Zależy mi na tym by postać,

rolli ostro komediowej. Kie- dyś Zbyszek mówił, że chę- nie zagrałby Papkina. Przy- znam się szczerze, że nie bar- dzo go widzę w tej roli, cho- na pewno zrobiłby ją bardzo dobrze.

— A gdzie miejsce na ryzy- ko?

— Ależ ja ryzykuję. Kiedy robiłam w telewizji „Damy i huzary” i rolę Majora zapro- ponowałam Markowi Walcze- wskiemu nastąpiło powszech- ne, zdziwienie. Jak? Skąd? Dlaczego? Tę rolę powinien grać np. Wichniarz, urodzony Major — doradzano mi. Tak, zgoda. Wichniarz to rzeczy- wiście świetny Major. Mnie ciekawiło coś innego. Zo- baczyłam w Marku Walcze- wskim to, co chciałam widzieć w Majorze — pewną pasję. Chciałam, by Major był furia- tem i Marek zrobił to wspa- niale! Jego Major był cieka- wy, niebanalny, po prostu in-



zonach, ale życie się nie kończy i mam nadzieję, że jeszcze coś zrobię, także w telewizyjnym kabarecie.

— Właśnie! Pora warszawska widownię zdobyła Pani miliony widzów dzięki kabaretowi Olgi Lipińskiej w telewizji. Jednak Pani koledzy po fachu

bitam „Gallux-show”, filarem był Andrzej Zaorski i wydawało się, że bez niego nie ma mojego kabaretu. Potem przyszli inni, jak Gajos, Rewiński i w pewnym momencie ich też może zabraknąć. Mam nadzieję, że uda mi się stworzyć nowe postaci, chociaż jestem bardzo przywiązana do starych i trudno i przykro jest mi rozstawać się z któryś z nich.

— A jednak sama Pani powiedziała parę lat temu, że bez Kobuszewskiego, Fronczewskiego, Gajosa...

— Nie będzie to już ten kabaret, ale będzie inny.

— Czy jednak lepszy? Weźmy przykładowo ostatni kabaret...

— Ostatni kabaret nie był ani lepszy, ani gorszy od poprzednich. Chcę przejść w nową formę i chcę to zrobić bezboleśnie. Uważam, że był on nawet tekstowo mocniejszy od innych...

— ?

— Tak uważam, choć mniej w nim było zabawnych sytuacji. Kabaret jest, a w każdym razie powinien być taki, jakie są czasy. Kiedyś robiłam „Właśnie leci kabarecik”. Polegał on na czystej zabawie zwarlowanych gagów z telewizorem, teraz musi być w nim więcej publicystyki.

— Chce Pani zrezygnować z tej, tak bardzo charakterystycznej dla Pani kabaretu literackiej, a nawet czasami poetyckiej formy?

— Ależ nie. To już taki mój styl. Nie interesuje mnie w sztuce sucha publicystyka. Jeżeli jest ona w moim kabarecie — to w absurdalnej formie. Aktorzy z którymi pracuję świetnie to rozumieją i wiedzą jak prze-

— Czy z pozytywnym efektem?

— Nie. Mam wrogów i przyjaciół, może więcej tych drugich. Jeśli ktoś nie chwycił konwencji w której się poruszam, to co robię wydaje mu się głupie i bez sensu. Dostaję listy z wymyślaniami, bardzo nieraz napastliwe, nie dopuszczające myśli, że kogoś innego może to co robię bawić. A przecież można nie irytować się i wyłączyć telewizor, lub nie przyjąć na przedstawienie do „Komedii”.

— Mówiła Pani sporo o kabarecie, jego nowej formie, a ja chciałabym jeszcze powrócić do teatru. Co napowiada się nowego w Teatrze „Komedii”?

— W tej chwili pracuję nad nowym widowiskiem kabaretowym w rodzaju grange obecnie „Śmiechowiska”. Korzystam z tego, że mam w teatrze „dyrektora” mojego telewizyjnego kabaretu — Miśka — Janusza Rewińskiego i paru utalentowanych aktorów, jak Drzewicz, Maciejewski, Mrowiec, Biernacki, Szymczykiewicz, Sleszyńska, Grochoczyński, którzy sprawdzili się w cieszącym się dużym powodzeniem „Śmiechowisku”. Publiczność lubi tego rodzaju przedstawienia (niektórzy widzowie przychodzą na „Śmiechowisko” po kilka razy) a mnie i aktorom daje to satysfakcję. Czego chcieć więcej?

Zresztą nie mamy zbyt dużego wyboru. Są kłopoty z repertuarem komediowym. Autorzy stroną od komedii. Utarło się, że dramat i tragedia to bardziej godne sposoby przekazywania treści ważkich. Wynika to być może z przesadnych fałszywych ambicji, że śmiech nam nie przyszedł, że to co śmieszne jest gorsze od tego, co zostało po-

a

LIPIŃSKA

twierdzili, że to, co Pani robi w kabarecie nie jest satyrą, lecz sawracaniem głowy, że lepiej by Pani nie robiła nic, niż udawała, że jest to satyra.

— Nie robię kabaretu dla kolegów satyryków, oni są zbyt wymagający. Proszę nie zapominać, że robię kabaret w telewizji. Zawsze w moim kabarecie starałam się pokazać stosunki i warunki, w jakich żyjemy. W okresie „sukcesu” w programie „Gallux-show” był blichtr, rewla, pióra i elegancki konferansjer w sandałach. To było z przodu. Z tyłu, za kulisami było trochę gorzej, a właściwie zupełnie źle. Potem, w kabarecie w ostatnich latach zrujnowała się nawet fasada. Kurtyna szła w dół zamiast w górę, zmieniła się dyrekcja. Konflikt zespołu z dyrekcją był już nie do ukrycia. Było dużo pozornych działań i nigdy nie doszło do



Fot. CAF

ny, oryginalny. A taki Major może powinien zaistnieć w naszej świadomości.

— Ale Fredro jest tu specyficznym przykładem, to właśnie w nim jest Pani szczególnie przełomowa.

— To prawda. Bardzo lubię Fredrę, często przed zażnięciem czytam „Zemstę”, znam ją na pamięć. Czasami obsadzam w wyobraźni różnych aktorów, jakoby zagrali np. Cześnika, Milczka czy Papkina, a Fredro stwarza olbrzymie możliwości. Jeżeli w jego sztukach obsadzi się nieoczekiwanie aktora, nagle odświeża się cała akcja i utwór nabiera nowych barw. Parę lat temu w kabarecie Fronczewski grał Cześnika a Dyndałskiego — Basia Wrzesińska i Janek Kobuszewski. Oczywiście był to Fredro w wydaniu kabaretowym i okazało się, że stary Fredro bardzo świetnie siedzi w kabarecie.

— Pani teatr nie jest jednak typowo komediowy, wystarczy przejrzeć repertuar z ostatnich lat, aby stwierdzić iż niektóre z przedstawień trudno nazwać komediami.

— Tak. W powszechnym pojęciu komedia to coś lekkiego, łatwego i przyjemnego, taka pianka — najlepiej francuska, trochę pikantna — a ja akurat tego nie znoszę. Interesuje mnie komedia współczesna, nasycona satyrą dotyczącą naszej rzeczywistości. Chcę aby publiczność się śmiała i zarazem niepokoiła.

— Czy dlatego jest Pani dyrektorem teatru, że nie lubi zależności i woli sama dyktować?

— Dyrektorem zostałam z powodu pychy. Wtedy, w 1977 roku, wydawało mi się, że w ciągu jednego sezonu zrobię z nie najlepszego teatru w Warszawie dobry teatr, że mnie musi się udać.

— Udało się?

— W połowie, po kilku se-

tej wymarzonej, wspaniałej premiery.

— Schowała się Pani za astatą teatralną, bo tak wygodniej?

— Teatrzyk czy estrada, którą pokazuję w kabarecie to naturalnie sztafaż. Ale taka mała społeczność z różnymi postawami może być w każdym środowisku, niekoniecznie teatralnym, które — to prawda — najlepiej znam. Oczywiście, mam kłopoty, bo robię kabaret satyryczny, a więc nie pokazuję rzeczywistości w afirmacji, tylko w destrukcji. Nie mam pozytywnego bohatera, z którym widzowie mogliby się identyfikować bez zastrzeżeń. Bohaterem mojego kabaretu jest głupota. Pokazuję chamstwo i głupotę dlatego, że mnie to drażni i przeszkadza żyć. Popularność kabaretu świadczy, że nie jestem w tym odosobniona.

— Co jakiś czas przez kabaret Olgi Lipińskiej przechodzi huragan. Ostatnim razem wymiotło Kobuszewskiego, Gajosa, a wcześniej Fronczewskiego, Pokorę i innych. Dlaczego?

— Każdy z nich odchodził z innego powodu. Robiliśmy ten ostatni kabaret przez 6 lat. Jest to chyba taki okres, w którym grupa się zawiązuje, osiąga w swoich możliwościach pewne apogeum i rozpada się. To naturalne, nie może trwać w niezmienionej formie przez dłuższy czas. Kiedyś, gdy ro-

kazywać widzom pewne treści, bez uciekania w dowcipne aluzjki i mrugania okiem. Może wydawać się to pani paradoksem, ale przy wszystkich szaleństwach, które robimy w kabarecie, mówimy o naszych sprawach prosto i jasno.

— Czy to prawda, że ktoś nawet napisał pracę doktorską na temat Pani kabaretu?

— Tak, dotyczyła ona percepcji programu „Właśnie leci kabarecik”, tego typu humoru.

— Czytała ją Pani?

— Oczywiście.

— I jak ten odbiór wypadł w badaniach naukowych, jakich miał widzów kabaretek?

— Ze wszystkich grup zawodowych. Oczywiście widzą bardziej wyrobionego bawilo co innego niż widza mniej wykształconego. I jeśli robi się program o tak masowym odbiorze jak telewizja trzeba o tym pamiętać. Zresztą marzeniem każdego twórcy jest być zrozumianym i akceptowanym przez szerokie kręgi społeczne. Nawet ci najbardziej awangardowi też chcą mieć jak największą publiczność. Ja w każdym razie to się staram.

wiedziane serio. Jesteśmy społeczeństwem o wzorach bohaterów narodowych w typie tragiczno-romantycznym. W naszej tradycji literackiej nawet białe królewski był tragiczny. Autora nie nobilituje pisanie komedii. Tak już jest i nic na to nie poradzimy. Bardzo lubię i cenię komedie. Uważam ją za gatunek sztuki bardzo trudny, w którym niestety nie można szukać. Oglądając dramat można go w milczeniu nie akceptować. Na komedii jeśli żart był celny wiemy od razu. Śmieje się Pani czy nie?

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała
ZDZISŁAWA
OTAŁĘGA